ROZMAITOŚCI.

Dnia 28. Marca. № 13. Roku 1855.

POWIESCIARZ ZNAD WYBRZEŻA DEGLI SCHIAVONI

czyli

Jak się Wenecyanie bawią.

(Dalszy ciąg. Ob. N. 12. Rozmaitości).

Czuł mój ojciec, że się do mety zbliża. Złożony na łożu kukurudzianém, zawarł oczy, w wyschłym ręku trzymał różaniec, a usta bezbarwne tylko nieme modły szepliły. W izbie była śmiertelna cisza, same ją tylko tajone łkania matki i dzieci przerywały. Zdala zachodziły dźwięki dzwonów z kościoła di Santa Maria dei Gesuiti, a zza okna otwartego zalatywały jednostajne głosy z gondoł zawracających w przyboczne kanały. Promień wieczornego słońca załamywał się w liściu winogradowym, który obścielał nasz domek, i na twarz gasnącego spadały kolejnie, raz światła rózowe słońca, raz cienie szerokich liści. Wtedy otworzył mój ojciec jeszcze raz duże, czarne oczy, teraz już wklęsłe głęboko, posunął wzrokiem powoli w koło, jak gdyby rad był przeliczyć i przejźrzeć całą rodzinę, zobaczyć czyli nie ubył który, potem kilkakroć nasilił głosu czyliby nie dało się użyć go jeszcze, wkońcu, chociaż osłabiony i często z przerwą, tak zaczął mówić:

Jeszcze przed laty chciałem wam moi kochani powierzyć z młodych lat moich pewne cudowne, niesłychane zdarzenie. Zwlekałem z dnia na dzień, częścią z obawy szczebiotliwości twojéj moja kochana żono, ażebyś się nie wygadała, częścią w nadziei że wy moje drogie dzieci podorastacie, a stateczni z was ludzie, posłuchacie uważniéj i ściśléj zachowacie milczenie. Za długo-m odkładał, nieba mię odwołują wcześniéj niźli myślałem, chwile moje już policzone, nawet niewiem czy mi stanie czasu na tyle by wam odkryć tak długo chowaną tajemnicę. Więc słuchajcie — ale przysięgnijcie wprzódy, przysięgnijcie tu na dłoń umierającego, że nim pięćdziesiąt lat upłynie nikt z was nie pisnie i słówka przed nikim z tego no usłyszycie. Los zawikłał w moje przeznaczenie dziedzica jednéj wielkiéj, możnéj familii, sam trybunał inkwizycyi — dodał z cicha — był zmuszony wdać się w tę sprawę; a jedno słówko z was nieroztropne, wystawiłoby domek wasz na swawolę zuchwa-

łych, bezkarnych Nobili, a głowy wasze pod katuszę di Santo Uffizio. Przysięgnijcie na pięćdziesięcioletnie milczenie. Po ów czas mogą pogasnąć dumne imiona; w pół wieku mógł powstać inny szczęśliwszy Marino Falieri, mąż który skruszy pęta krępujące lud tysiącem laty, i położy kres okropnościom owych tajemniczych sądów krwawych. Przysięgnijcie!

Usłuchaliśmy rozkazu ostatecznéj woli ojca naszego, złożyliśmy do zimnych rąk jego nasze śluby milczenia, i dochowaliśmy wiernie. Moja matka, moje rodzeństwo do zgonu samego, a ja, który-m ich przeżył, aż do kresu kiedy się ziściła przepowiednia umierającego, i kiedy powieściarz znad Riwy degli Schiavoni ani się obawiać potrzebuje pomsty swych Nobili, ani okrucieństwa rady dziesięciu, gdzie powieściarz innéj obawy nie zna prócz téj, by nie popaść w niełaskę ukochanych słuchaczów swoich przez niedobór stosownéj powieści a słabość wykładu. Ale-ż co pletę? czyż-to nie wspaniałomyślni dobrodzieje moi przede mną? czyż-to nie oni od tylu lat obsypywali starca względami swemi? I dziś nie zechcą oni przymierzać ostrych praw surowéj krytyki do mojéj bynajmniéj ogładnéj powieści; lecz jak i dawniéj bywało, szczéra ma wola stanie im za uczynek. Ale do rzeczy.

Było-to gdzieś około trzeciéj z południa — tak zaczął mój ojciec — latem-to było, a dzień był parny, kiedym ja podepchał głowę w skąpą zaścień granitowéj kolumny Ś. Teodora, i ociężałe członki rozwlókł na płytach piazzety; chrupałem prażuszki z przekąską świeżych muszelek, i na pół spiący przeliczałem kolumny pałacu książęcego i ztąd i ztamtąd a nie mogłem z tém przyjść do ładu, tak mi powieki ciężyły. Pod kolumnami na straży Arsynalecie wlokły się także leniwo kroki; podsienia na Zecce jakby powymierały, nie było widać tylko kilku Turków na poduszkach w przykuczku, także drzymiąc wąziutkie z cybucha puszczali dymy; kiedyś nie kiedyś strzelił gołąb przez plac Ś. Marka, uciekał na kościół Ś. Marka szukać w luce ochłody przed skwarem słonecznym. Tak było cicho, że kto umie, mógłby był zrozumiéć szeplącą falę pod gondolą na kanalecie. Świat odbywał Siestę, i jam się zabierał, gdy nagle zaszedł mię głos: „Hola! Antonello! wstawaj! godzinę po Canal grande!“ i przerwał moje drzymanie.

A wołał mię młody Orazio Memmo, plemieniec patrycyuszów, najzacniejsze Niedobrego na całą Wenecyę; bo to dwadzieścia trzy lat, słuszny i smukły, twarz delikatna i blada, a oczy czarne i połysk jak może być, zwinny a śmiały, bogaty a zaklęty nieprzyjaciel pełnéj kiesy, zuchwały gracz a zapamiętały wielbiciel kobiét i u nich zawsze szczęśliwy; takim-to był mój dobrodziéj, mój patron któremu służyłem. Nie dowierzał on przewoźnikom u swego wuja, zwietrzył w nich szpiegów sprawek swoich; rozpustnik potrzebował w wyprawach człeka przebiegłego, odważnego, kogoś sumiennego co umiał milczéć i niezachwianie mu był wiernym — a takiego we mnie znalazł. Ach, co-to się

działo! jak sobie przypomnę dawne dobre czasy, te wspaniałe karnawały, owe nocne włóczęgi i serenady, owe schadzki tajemne po ogrodach Giudekki! Ojcowie i małżonkowie truchleli i przeklinali Messer Orazia bardziéj niż Bisurmana, a nie jedna garść dublonów zsypała mi się do czapki, gdy moja lotna gondoła uniosła go z pogoni nieprzyjaciół godzących na śmierć, i gdym szczęśliwego kochanka nieznacznie wysadził na ląd w Casa-Memmo że nikt nie widział.

Otoż na zawołanie mi znane, zerwałem się jak wiatr, odpiąłem z łańcucha gondołę; Eccelenza krokiem wstecz wśliznął się drzwiczkami. ja kopnąłem nogą i odsadził od brzegu.

Może tak z pół godziny toczyła się barka po wodzie spokojnie i cicho jak gdyby listek płynął. Wiosła ani słychać było w zielonych nurtach; śpieszno nam nie było, mego Patrona nic nie nagliło, z godzinkę chciał się w „Farniente“ pobawić — gdy w tém zaszeleściła jakaś cudza gondoła za nami, zaszumiała koło nas, i śpiesznie silnym popędem wiosła nas wyprzedziła. Felczet *) jéj ozdobiony był w pąsowe kobierce przerabiane złotem i srebrem, a z pudła pozwieszane kutasy jedwabne ześlizgiwały się po falach wody. Barkarole obydwa ubrani byli suto w bogatą odzież. Czyja by to być miała gondoła, sam nie wiedziałem; znałem gondoły wszystkich ambasadorów, jedyni którym prawo dozwalało strojnéj wystawy, bo nasze jak wiadomo zawsze muszą być czarne. Przed kajutą siedział na złotem haftowanéj poduszce Murzynek, miał na szyi złotą opaskę, z ramienia na łańcuszku zwieszony sztylet, a na ręku trzymała mu się papuga śklniąca prześlicznem piórem. Zaponki u okien były z obu stron podniesione, i oko mogło w przelocie pochwycić, co było wewnątrz. Na poduszkach spoczywała Pani anielskiéj urody; ciało jéj opinała suknia obcisła, zpod sukni wyglądały opony na wzór oryentalnych po same meszty cudnie wyszywane. Długi złoty włos zwijał jéj się swobodnie z białego czoła po ramionach, plecach i piersiach. A chcecie domyślić się jaki wdzięk, jaki ponęt w jéj twarzy, jaki ogień w jéj czarném oku, co za czary w jéj uśmiechu otaczającym świeżość ustek nadobnych? — tedy idźcie do pałacu Doży, niech wam otworzą salę „dello Scrutinio“ i zatopcie wzrok wasz w piękną dziewicę obrazu sądu ostatecznego Jakóba Palmy — podobna jest do téj co była w gondoli, chociaz jeszcze nie ze wszystkiém. Gdy się ta barka mimo koło nas sunęła, Pani jéj uchyla na chwilkę w ubocz lutnię swą o stronach złotych, zręcznym rzutem miota ognistą lilię w naszą kajutę i wymawia kilka słówek dźwięcznych ale niezrozumiałych, a barkarole tymczasem jak oko zmrużył, silném popchnięciem wiosła, unieśli barkę na kilkaset palm przód nas.

Pędź! pędź! Antonello, zawołał patrycyusz na mnie, doganiaj, dopędzaj! Masz dwadzieścia cekinów, jeźli jéj z oka nie stracisz, jeźli się wywiemy, gdzie mieszka?

*) *Felce* budka na gandole.

Eccelenza spuść się na mnie, nie zawiedziesz się na Antonellu. Byle wiosło przy gondoli a żyła w ramieniu nie pękła, nie ujdzie nam ta piękna poganka.

Teraz chodziło dotrzymać słowa, i nie postradać nabytéj sławy. Przed nami ulatywali jak dzikie gołębie wystrojeni cudzoziemcy, a my jak drapieżne sokoły za nimi. Zawinęli potem w odłam na lewo i zatrzymali się, niezawodnie dla tropu byśmy za nimi gnali; i znowu w pośpiechy przez wielkie i małe kanały, na prawo, na lewo, znowu wprost koło San Nicolo, aż nakoniec obie gondoły wypłynęły na laguny drogą do Fusiny.

Jak motyl z listka na listek przeginała się łodź cudzoziemska pomiędzy słupy, którędy gościniec był wytyczony; czasami wydało się jakby iskrząca gwiazda spadała z nieba tak nam błysnęła w oczy odbita jasność ich złota, żeśmy musieli i oczu przymrużyć i wiosła przytrzymać. Ale mój Pan naglił coraz gwałtowniéj, przyklęknąć musiałem ażeby wpruć głębiéj wiosło, sadziliśmy aż piana wyżéj dzióba wytryskiwała. Zdala gdzie Malamocco zalatywały odgłosy dzwonów i z dźwiękiem rozchodziły się po przestworzu morskiém; z gondoły zachodziły wrzaski papugi, potem lutni akordy, i tętna bębenka na którym Murzynek miarę wybijał, znowu chwilami wdzięk pienia, które Oryentalka w dziwnym odcieniu jezyka naszego wyśpiewywała:

„Gdzie złote oleandry, rybki purpurowe, gdzie w mirtowe gaje słońce nie dochodzi, tam zagadki rozwiązanie.“

Pan Orazio, biegły improwizator jak rzadko, na to porywa cytrę moją i odpowiada: „W koniec świata ja za tobą, znajdę, znajdę rozwiązanie.“

I coraz, coraz zbliżaliśmy się do zaklętéj gondoły. Już dziób naszéj wparał się w bruzdę, którę zostawiała po sobie łódź tamta, a piana od niéj zawijała się około naszéj jak pas srebrzysty, który nas ciągnął. I tak wpłynęliśmy w Brentę, pędzili mimo, zostawiając za sobą wspaniałe gmachy i wille bogatych panów weneckich; dopiéro przed jedną bramą marmurową zatrzymaliśmy się przy złocistych sztachetach, zza których wyglądał ogród z przepychem książęcym.

Cudzoziemka wysiadła. O święty Marku! cud piękności, to trzeba przyznać; postać wysmukła, szlachetna, a z wdziękiem w każdym ruchu do upojenia; jeszcze raz zwróciła twarzą z najsłodszym uśmiechem do mego pana, spojźrzała okiem gazelli, i uszła z przed nas, a Murzynek z gadatliwą papugą za nią, rozpiął parasol i cieniem osłonił ją od słońca. Wrota się rozwarły i w okamgnieniu zatrzasły za nimi, a oni zwolna ulicami pomiędzy mirty, wawrzyny, zwolna jak wietrzyk wieczorny puścili się ku pałacowi w głębi, i weszli.

Boska piękność! wykrzyknął Signor Memmo ochłąnąwszy z osłupienia. A czyjto pałac? czyj ogród?

Wcale go nie znam Eccelenza! jedno i drugie piérwszy raz widzę.

Nie znasz? wszak jesteśmy na Brencie?

Tysiąc razy jeździłem tędy, znam każdą bramę, każdą willę, niema uwięzi na łódź,

której bym nie znał, ale jak mi Bóg miły, jeszczem i jednéj cegły z takiego zamku nie widział. Ach, Illustrissimo, wierzaj, źle się w tym domu dzieje; to złudy czartowskie, nic innego; zmów tylko „Ojcze nasz“ a spełznie wszystko jak mgła. Czyś nie słyszał Panie nigdy nic o Barstukach i Smokach? Zapytaj się tylko greckich i illirskich żeglarzy, oni ci powiedzą, jak się te poczwary przerzucają w ciała młodych, nadobnych kobiét, wabią mężczyzn ponętą miłości a potem we śnie krew z serca im wysysają. A taki Smok jest ta księżniczka oryentalna, dalibóg, i na to przyjmę komunię. O „corpo di baco“ gdybym był sobie tylko czosnku pod wielki palec u nogi uwiązał — a ciągnęło mię dziś rano do tego — cudów Panie byłbyś dopatrzył. Słuchaj Eccelenza méj rady; wracajmy, a wracajmy pókiśmy cali. Gore pod nami.

I obróciłem się za srebrną gondołą; niema jéj! gdzieś znikła bez śladu z barkarolami, jak gdyby Brenta ich pochłonęła. Zwróciłem na to uwagę mojego Pana.

Ciołek z ciebie, powiedział, i zabobonnik.

Więc że Patrycyusz ani myślał się modlić, i stał słupem jak zaklęty przed kratą, więc zacząłem ja za niego odmawiać pacierze. Ale, czy że ja ze strachu może jedno i drugie słówko opuścił, czyli może istotnie złośliwe duchy tu się nasiadły, ażeby się przedrzyźniać Bogu i świętym pańskim, dość że nic nie pomogło, a pałac i obłok stał jak stał.

Czarne cyprysy wyciągały szyję znad sztachet, figi przewieszały przez kratę liść pokurczony jak palce wyraźnie w chęci aby nas ująć i pomiąć, po murach uganiały się błyskliwe jaszczurki, oglądały się palącém okiem za nami, i zmiatały się w ogród; pewnie biegły z językiem, że my tu zaczarowani, ani się z miejsca ruszyć możemy. Gdzie zaś gzymsy, tam stały widma z marmuru powyrabiane, pogańskie bogi o kozich nogach, szczyrzyły się na nas garbate karły w trzygraniastych kapelusikach, strzelce z nadętą twarzą jak dmą w waltornię, damy w robronach o końskiéj głowie, urny rozmaite, w około nich gady, żabska, smoki, i co było gdzie diabelstwa, to wszystko na nas się naszczurzyło. Pomiędzy temi poczwarami przechadzał się poważnie paw z rozpuszczonym ogonem, chwilami stawał do słońca i piał nieznośnie.

Jakby tu do ogrodu się dostać? mówił pan Orazio tak sam do siebie. Jeszcze na kratę dało by się jakoś wydrapać... ha! śmiały skok, i...

Eccellentissimo, co myślisz! przestrzegałem. Na miłość boską daj pokój; narażasz ciało twoje i twoją duszę nieśmiertelną. Wierz mi Panie, czart chodzi po świecie i szuka tylko kogo by napaść i połknąć jak lew.

Ale gadaj głuchemu. Już Signor Orazio wyskoczył z gondoły i gotował się jakby się wdrapać na skałę, gdy wrota rozwarły się, wyszedł jakiś podstarzały Murzyn i w pokłonach uniżonych wynurzył zaprosiny swéj Pani, Signory Smeraldy, przymawiając się o zaszczyt od-

wiedzenia jéj w ogrodzie. Na próżno przytrzymywałem za poły zaślepionego pana, na próżno w przeczuciu złego, chciałem przyzostać gdzie byłem. Mój Patrycyusz rzucił się w bramę i mię za sobą powlókł, a stary niewolnik przyzostał tymczasem na straży w gondoli.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

MANFRED.

Tragedya w 5 aktach wierszem

przez

Xawerego Godebskiego.

(Dalszy ciąg. Ob. N. 1. 2. 3. 7. 8. 9. 10. 11. 12. Rozmaitości).

Scena 3.

Noema. Klotylda. Rodryk.

(Rodryk wchodzi uzbrojony z hełmem na głowie. Giermek z herbowną tarczą zostaje przy drzwiach).

Rodryk.

Jakże słodkiém uczuciem serce moje poją
Szczęsne chwile powrotu — Daj mi rękę twoją,
Niech ją na utęsknioném sercu mojém złożę;
Luba to dla żołnierza chwila, kiedy może
Po ciężkich znojach wrócić w ojczyste swe progi,
I na łonie rodziny znaleźć spokój błogi,
A kiedy na miecz spojźrzy rdzewiący na ścianie,
Marzyć o dawnych bojach, lecz nie wracać na nie.
(zdejmując hełm, do Giermka:)
Weź hełm *)..... Znośne są trudy, lekką zda się (praca,
Kiedy ją czułość swoich w powrocie opłaca.

Noema *(wychodząc z głębokiego zadumania).*

Szczęśliwsi, co przebiegłszy zakres niedaleki,
Na krwawém polu bitwy zasnęli na wieki.
Tych już troska nie zbudzi. —

Rodryk.

Zkąd te myśli tobie?

Noema.

Kędyż jest trwały spokój, jeżeli nie w grobie?
Gdzie zgryzotom i żalom zbawienniejsza tama?
Ten przywiléj śmierć sobie zostawiła sama.

Rodryk.

Tęsknota samotności i wzgląd na mnie czuły
Pasmo tych czarnych myśli zapewne wysnuły.—
Obecność moja spłoszy tę żałobną marę....
Wszyscy mówią i chętnie temu daję wiarę,
Że pogrążoną w smutku zawsze cię widzieli,
Żeś zamknięta w tych murach jak w klasztornéj (celi
Rzadkiéj tylko, jeżeli noc pogodną była,
Na tarasach zamkowych przechadzki użyła,
Godząc, w rzewnéj tęsknocie, lutni twojéj (brzmienia,
Z tajemniczą i cichą pieśnią przyrodzenia.
Żaden cię nie rozerwał z obcych stron przycho- (dzień;
Żałoba serca twego wzmagając się co dzień
Jawna tobie, dla innych pozostała niemą.....

Noema *(z mocném poruszeniem).*

Przestań..... przez litość.....!

Rodryk.

Przebóg! Cóż ci jest Noemo?

Noema.

Nic..... bądź spokojny.... boleść ścisnęła mi ser- (ce.—

Rodryk *(po chwili milczenia).*

Zużywszy młodość moją w krajowéj rozterce,
Sądziłem że raz przecie wypocznę czas długi.
Czy wiesz, co mię na nowe odrywa usługi?

Noema *(niespokojnie).*

Może..... znów jaka wojna.....

---

*) Rodryk oddając hełm Giermkowi, daje mu znak do wyjścia — Giermek wychodzi.

Rodryk.

Prorocze twe słowa.
Tak wojna — najstraszniejsza bo wojna domowa
Bo z własnemi ziomkami bój toczyć przychodzi....
Wiesz — ten Manfred, wygnaniec.... znaliście się
(młodzi....
Lecz dla czegoż bledniejesz, słysząc to na-
(zwisko....?
Łotry nie są zbyt liczni, ani też są blizko;
A ty się tak zatrważasz, jak gdyby z nich który
Z nożem w ręku na nasze już się wdzierał mury.

Noema *(roztargniona).*

Znałam go mężnym, zacnym..... ztąd moje po-
(dziwy....
Mówiłeś tedy?....

Rodryk.

Otoż człowiek ten burzliwy
Tak daleko posunął żądze niespokojne,
Że własnemu Książeciu wypowiedział wojnę.
Słaby Książę uległby buntowniczéj woli;
Gdybym ja go nie poparł w publicznéj niedoli;
Lecz dłoń moja na szczęście kraju uzbrojona
Wydarła groźną hydrę z ojczystego łona.—
Wykryłem wcześnie zamysł nikczemny i hardy:
Buntownik stał się celem publicznéj pogardy,
I chcąc zgubić ojczyznę, zgubił tylko siebie.

Noema *(z rosnącą niespokojnością).*

Wiem.... słyszałam.... powtarzać nie jesteś w po-
(trzebie.

Rodryk.

Dumny w swoim upadku, jak na władzy szczycie,
Wyzuty z dóbr i sławy zaczął wichrzyć skrycie;
Wszedł w związki z korsarzami i z nimi związany
Wzrósł w siłę, rzucił postrach w około Katany,
I bezkarnie po naszych brzegach gospodarzy. —
Doszła mnie wieść w téj chwili że okręt korsarzy
Niespodzianie w burzliwéj dni ostatnich zmroce
Od Katany ku naszéj puścił się zatoce.—
Jeśli go burza w morskiéj pogrążyła toni,
Oszczędzi mi tém samém trudów i pogoni;
Ale jeśli żyjący Manfred się tu dostał....

Noema *(w obłąkaniu).*

Czy sądzisz że w bliskości Lukano pozostał?
Że się tutaj ukrywa?... Zgnieć twojego wroga—
Jest on i mojém wrogiem— Zgnieć.... ale na Boga!
Jeżeli go zabijesz, nie chełp się przedemną.

Rodryk.

Noemo, jakąś myślą dręczysz się tajemną:
Obłąkane uczucie sercem twojém miota....
W szczęśliwych dla mnie czasach słodka twa
(tęsknota
Godziła się z poufnym czułości wylewem;
Jak dźwięk twéj lutni z twoim skojarzony śpie-
(wem.
Obraziłżem cię kiedy postępkiem, czy słowy?—
A jeżeli niekiedy nałóg obozowy
Wzburzył moją porywczość, wybuch nie trwał
(zgoła:
Szukałem u stóp twoich, jak u stóp Anioła
Z uległością dziecięcia przebaczenia winy;
Okupując serdecznym żalem błąd jedyny.

Noema *(z uniesieniem rozpaczy).*

Byłeś zawsze szlachetnym — bądźże nim w téj
(chwili —
Zabij mię....!

Rodryk.

Tyś to rzekła, czy mię słuch mój myli....?
Co tobie żono, powiedz — kto mi wytłumaczy
To żałośne przejęcie, ten wybuch rozpaczy?
Wprawdzie mało mi znany obyczaj niewieści:
Uśmiechy bez radości, i łzy bez boleści.
Widziałem, niepojmując.... w namiocie wyro-
(słem,
Wojna była młodzieńczych lat moich rzemiosłem,
Ciężki hełm przetarł włosy, a trudy nad siły
Czoło moje wczesnemi troskami poryły.
Zestarzałem przed czasem — lecz nie myśląc
(o tém,
Rychłym się tylko do was cieszyłem powrotem;
Marzyłem, że wrócony domowi, rodzinie,
Lat mych ostatek z wami swobodnie upłynie,
Że widok twego szczęścia da mi siły nowe,
Umacniając zwątloną dni moich osnowę
Wspomnieniami chwil przeszłych i przyszłych
(nadzieją;
Że wreście kiedy zwykłą śmiertelnych koleją
Przyjdzie mi zamknąć przy was żywot nie dość
(długi
Ale pełen pociechy i nie bez zasługi,
Wierną twą dłoń ucisnę na zimném już łonie,
I wzrok gasnący w tobie z miłością utonie.—

Noema.

Nigdy — nigdy Rodryku, na twą biedną żonę
Nie wejźrzysz z tém uczuciem. — Dni me poli-
(liczone:
Szczęście zaślepić może, boleść widzi jasno;
Przed nią słabe połyski reszty złudzeń gasną,
I niemylne przeczucie upomina duszę. —
Śmierć moja nieuchronna — wierz mi — umrzeć
(muszę....

Nierozraniaj twym żalem blizn mych, przyjacielu
Przestań badać..... tajemne złe już od lat wielu,
Jak wkorzeniony robak serce moje toczy:
Dziś mię tylko dobija. — Gdy mi zamkną oczy,
Gdy niegdyś wdzięczną tobie, martwę postać (moją
Do śmiertelnéj łożnicy całunem przystroją,
Bądź stróżem sławy mojéj — jeżli gad obmowy
Jadem swoim przegryzie mój kamień grobowy,
Broń téj, co siebie sama bronić już niezdoła. —
Żyj szczęśliwy — niech przyszłość jasna i wesoła
Rozpromieni swym blaskiem kres życia daleki;
I niech ... godniejsza ciebie zawrze ci powieki.—
Rodryku jeszcze prożba ostatnia, jedyna,
Ale prożba najświętsza — zostawiam ci syna:
Dochowaj mu twe serce aż do dni ostatka,
I kochaj, jakoś kochał, póki żyła matka. —

Rodryk.

Rozpędź te czarne myśli, które tak niewcześnie
Duszę twoją obsiadły — Marzysz jako we śnie:
Zwykłe to i żałośne samotności skutki. —
Widzisz — jesteśmy razem i to na czas krótki:
Jutro znowu w wojennym wystąpić mam szyku:
Pójdź spocząć na mém sercu. —

Noema.

Oddal się Rodryku —
Zostaw mię tutaj samą.... przebacz mi mój luby,
Lecz dla szczęścia naszego związałam się śluby....
Utwierdza mię w nich jeszcze twój odjazd tak (blizki,
Niechcę ich zrywać twoje przyjmując uściski
Aż do chwili.....

Rodryk.

Do chwili?

Noema.

W któréj ta umowa
Z Niebem spełnioną będzie.

Rodryk.

Niech mię Bóg uchowa,
Abym twoje pobożne odwracał zamysły,
Ale spełniając zamiar pokuty zbyt ścisły,
Nie bądź dla mnie, dla siebie z litości wyzutą.

Noema.

Dobroć twoja jest dla mnie najcięższą pokutą:
O czemuż jéj nie zdołam odpowiedzieć godnie!

Rodryk *(do Klotyldy).*

Zaleć proszę niech Giermek rozpali pochodnię,
Żeby mię przeprowadził — noc dziś mamy cie- (mną. —

(Klotylda odchodzi).

Noema.

Rodryku! nim tą razą rozstaniesz się ze mną,
Przebacz mi!

Rodryk.

Ja przebaczyć? tobie? — Zkąd potrzeba
Taka?

Noema.

Niema bez chmurki pogodnego nieba:
Czyliż zbłądzić nie można w pożyciu szczęśli- (wém?
Gdyby w najczulszém stadle, z każdém dnia (upływem
Przyszło zliczyć sumiennie i zważyć surowo,
Każde wstrętne spojźrzenie, każde przykre słowo
I każdą myśl naganną — trzebaby się społem
Przepraszać na kolanach, z ukorzonem czołem....
A cóżby mnie nieszczęsnéj zrobić należało....!

Rodryk.

Albo siebie źle cenisz, albo mię znasz mało,
Kiedy sądzisz, że w mojéj zachowam pamięci
Winy, które popełnić mogłaś mimo chęci,
A które mnoży domysł drażliwy i czuły:
Nigdy one mojego szczęścia nie zatruły.
Przebaczam ci je z duszy. —

Noema *(klękając).*

Błogosław żonie:
Błogosławieństwem twojém nędzę mą osłonię.—
Niech ci Bóg wieczném dobrem spłaci litość twoją.

(Giermek ukazuje się we drzwiach z pochodnią).

Rodryk *(podnosząc Noemę).*

Przestań! Smutne twe myśli i mię niepokoją,
Zostań z Bogiem — ja wracam na samotne łoże,
Poszukać snu, którego już nie znajdę może. —

(Całuje Noemę w czoło i odchodzi poprzedzony przez Giermka).

Noema *(sama).*

Ta walka jest nad siły — dotrwać jéj nie mogę.—
Gdzie się zwrócę, okropność zabiega mi drogę:
Manfred ma umrzeć tutaj! — ja mam patrzyć (na to!
Ja, com sto razy życia własnego utratą, —
Kiedy życie i dla mnie miało swe powaby, —
Ocalić go pragnęłam! — Śmierć jego byłaby
Wieczną dla mnie ohydą.... zawziętość bezbo- (żna....!
Śpiesz, Klotyldo, śpiesz — jeszcze ocalić go (można—
Powiedz mu, niech ucieka, zbiegnie w kraj da- (leki;
Niech o mnie, którą zgubił, zapomni na wieki....
Któż tu idzie?... chód jego — czy mię przestrach (łudzi —
O! nie — znam go zbyt dobrze — śród tysiąca (ludzi
Mogłabym go rozpoznać — nic mi go nie zgłuszy:
Odgłos ten tylokrotnie odbił się w méj duszy...!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*